

SYN UMIŁOWANY

(4)

Teraz, jak mi się trafi upadek, nie odwlekam spowiedzi. Widzę ogromną miłość Jezusa do mnie i właśnie dlatego, że mnie tak kocha, nie chcę grzeszyć. Teraz mam dla Kogo nie grzeszyć. Chcę być świętym. A świętym się jest nie tylko dlatego, że się nie upada, ale dlatego, że się często przystępuje do sakramentu pojednania. Oczywiście, nie jest to zachęta do grzeszenia. Ważne jest dla mnie teraz to, że kocham Jezusa. Jestem grzesznikiem, ale dla Jezusa chcę zrobić wszystko, chcę być z Nim na wieki, w niebie... Jeśli upadnę, prędko idę do konfesjonału z prośbą: *Ojcze, przepraszam, chcę wrócić, wybacz, chcę się poprawić.*

Wiem, że jest to dopiero początek drogi. Ale drogi najpiękniejszej na świecie, bo gdziekolwiek bym poszedł, cokolwiek bym zrobił, JEZUS zawsze będzie mnie kochał miłością bezgraniczną. Czasem w sposób namacalny daje mi odczuć, że jest ze mną. Są to chwile szczególnie radosne. Ostatnio wieczorem słuchałem kazań (aplikacja w telefonie). Rano alarm ustawiony w komórce budził mnie do pracy. Wstaję zaspany, a tu zaskoczenie, gdy przy wyłączeniu alarmu w telefonie włączyło się kazanie i padły tylko te słowa: – *Tyś jest mój syn umiłowany.* Szczęście wlało się do mojego serca i uśmiech zagościł na mojej twarzy na kolejne dni. Teraz te słowa są ze mną na co dzień. Nawet, gdy robię sobie śniadanie, to mówię: *Dzięki Ci, Panie, teraz Twój syn umiłowany będzie jadł kanapkę.* Chcę być z moim Ojcem w codzienności.

Innym razem prosiłem Boga w myślach, aby nadał mi „nowe imię”, zmienił imię, które powinien nadać chłopcu jego ziemski tata, gdy chłopiec staje się mężczyzną. Mnie, niestety, nie nadał. Minęły dwa, trzy dni, a ja o modlitwie już zapomniałem. W niedzielny rano dzwonek wzywa nas do drzwi, a w nich pojawiają się dwie kobiety. Jedna z nich pyta: – *Czy w tym domu jest ktoś, kto nie ma imienia?* Proszę poczuć smak sytuacji. Nikt normalny, odwiedzając obcy dom, takiego pytania nigdy



nie zadaje. Żona zaskoczona takim pytaniem, odpowiedziała, że nie mamy czasu, bo idziemy do kościoła. A ja wiedziałem, o co chodzi. Pomyślałem: O Boże, jesteście tym, jakie są nasze czynności, rozmowy, myśli, czym się zajmujemy. Kościół jest apostołski, ja idę do kościoła, ja mam na imię Christos (Chrystus) i phero (nieść), w sumie: Christophoros, co oznacza: niosący w sobie, wyznający Chrystusa. W tej sytuacji Bóg mi przypomniał, że ja jednak mam imię: Boże imię. W moim imieniu jest mój Pan, a ja w nim. Fajnie. Będę niósł Chrystusa.

Kiedyś przepraszalem Jezusa, że rozmawiam z Nim jak z kolegą, tatą, przyjacielem. Myślałem, że to niestosowne, nie wypada, bo Bóg jest przecież wielki, potężny (i to prawda), a ja, mały człowiek, jeszcze zadaję Mu pytania. Poczulem Jego uśmiech i akceptację, że taka właśnie powinna być moja relacja. Teraz nie boję się Boga, bo wiem, że On jest Miłością. Kocha bez względu na to, co zrobiłem lub czego nie zrobiłem, choćbym był największym grzesznikiem na ziemi. Na Jego miłość nie muszę zasługiwać!!! Ona po prostu jest. Bóg jest wszechmogący, ale pewnych rzeczy nie może, np. nie może nie kochać człowieka.

Kiedyś zapytałem Pana Jezusa: – *Dlaczego mój ojciec pił?* Przecież się modliłem, by przestał. Modlitwy moje były słyszane, ale nie zostały spełnione, bo Bóg dał człowiekowi wolną wolę i zabrać jej nie może. Gdyby tata przestał pić tylko dzięki moim modlitwom, byłoby to równoznaczne z odebraniem mu wolnej woli, a to stać się nie mogło. Zrozumiałem jednak, że przyczyną nadużywania alkoholu przez tatę był brak miłości ludzkiej względem jego osoby. Ludzie nie nauczyli go miłości, nie pokazali mu miłości, nie pomogli we właściwy sposób, by doświadczył miłości i nauczył się ko-

chać. Tak więc, jeśli ktoś pije, to też ktoś inny jest temu winien, a tak łatwo umywamy ręce (jak Piłat). Dzięki mojemu tacie poczułem, że każde zło Bóg może przemienić w dobro. To doświadczenie potrzebne było także mnie. Dzięki temu dziś nie potępiam alkoholików, a widzę w nich ludzi, którym inni ludzie nie okazali miłości w dostateczny sposób. Wiem, że są tak samo kochani przez Boga jak ja. Wiem, że czasu spędzonego przez rodzica z dzieckiem nie da się niczym zastąpić. Wiem, że człowiek bez Boga sam sobie nie poradzi. Wiem, że ojciec jest bardzo ważny dla dziecka. Wiem, że mój ojciec kochał mnie, jak umiał. Wiem, że bez niego i mnie na świecie by nie było. Nie byłoby też tego świadectwa, które czytasz. I dziękuję teraz Bogu za mojego ziemskiego ojca i że jestem na świecie razem z wami, i że będziemy razem żyli wiecznie.

Bóg z wielkiej miłości do nas czasem nie spełnia naszych prośb, bo widzi ich konsekwencje w przyszłości. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Bóg spełniał wszystkie nasze prośby, które do Niego zanosiliśmy. Gdzie byśmy teraz byli? Jeśli w ogóle byśmy jeszcze żyli. Może bylibyśmy na własnej wyspie w ciepłych krajach, obrzydliwie bogaci, zepsuci, nikogo nie potrzebujący (Kościół także). Takie duchowe karły, które Boga potrzebują tylko, aby im błogosławił, dał zdrowie i długie życie w dostatku, a do innych spraw niech się nie wtrąca. Bóg czasem nie daje czegoś, o co prosimy, dla naszego dobra. My się buntujemy, bo nie widzimy skutków, jakie mogą nastąpić. Podobnie jak małe dziecko – które matka prowadzi na pobieranie krwi – jest złe na mamę, że przyprowadziła je tu, gdzie kłują, boli, krew ściągają. Ale matka wie, że bez tych badań nie będzie można wyleczyć je

z poważnej choroby, a może uratować od śmierci. Dziecko o tym nie wie i dlatego się buntuje.

I jeszcze jedno doświadczenie. Pomimo tak spektakularnego nawrócenia, jakie przeżyłem kilka lat temu, trudno było mi uwierzyć w obecność Jezusa w Eucharystii. Pewnego dnia na Mszy św. kapłan powiedział, aby ten, kto nie wierzy, że pod postacią Najświętszego Sakramentu obecny jest Pan Jezus, pomodlił się słowami: *Wierz, Jezu, że możesz zaradzić mojemu niedowiarstwu.* Wypowiedziałem w myślach tę krótką modlitwę. Kapłan przechodził z Najświętszym Sakramentem wśród wiernych. Podszedł też do mnie – niedowiarzka. Po chwili, klęcząc, odczułem taką samą miłość Jezusa do mnie, jak przy tym pamiętnym objawieniu. To była ta sama bezgraniczna, bezwarunkowa miłość. Jedyną reakcją z mojej strony były łzy i wdzięczność za tę miłość, za to, że Jezus jest. Po prostu inaczej nie można.

Wiem, że wiele osób chciałoby, aby Pan Jezus przyszedł do nich w sposób fizycznie zauważalny, jak do mnie w tym krytycznym dniu kilka lat temu, ale dziś chcę zaświadczyć, że tego samego Jezusa osobowego, żywego, zmartwychwstałego spotykamy w Najświętszym Sakramencie. Bez tego spotkania, bez doświadczenia żywego Boga nasza wiara jest tylko szlachetnym systemem moralno-etycznym. Systemem, w którym trudno jest wytrwać, a niekiedy jest to niemożliwe. Dopiero doświadczenie osobowego Boga, pewność Jego wielkiej miłości do mnie, tego, że On jest zawsze blisko... nadaje sens wszystkiemu.

Od jakiegoś czasu Jezus chce, abym dawał świadectwo (oczywiście, też się opierałem, że nie potrafię, nie chcę, nie umiem, nie mam odwagi), bo to doświadczenie Boga nie zostało dane tylko dla mnie. Opisałem je więc dla wszystkich, jak kazał Pan. Na pewno to nie koniec mojej drogi świadectwa o Jezusie, bo wiem, że Pan chce, abym wychwalał, głosił Jego miłość coraz więcej i więcej.

Wszystko, co opisałem, wydarzyło się naprawdę. Niech Was, którzy czytacie to świadectwo, Bóg prowadzi.

Krzysztof, syn umiłowany